Godło: malva100

BELLE ÈPOQUE RATIBOR

Ojciec wcisnął Baśkę w gorset, gdy miała siedemnaście lat. Chciał wcześniej, ale z powodu drobnej figury nie było czego upychać. Matka patrzyła na to z pełną aprobatą; chociaż, gdy córka przez chwilę nie mogła złapać oddechu, ta zawahała się i już chciała ją z więzów wyzwolić. Była to jednak zbyt krótka chwila i myśl zbyt ulotna, by miała zaważyć na jej młodym życiu.

Farby mają zapach końca dziewiętnastego wieku. Brudzą ręce w sposób artystycznie skopany. Tworzą abstrakcje, chociaż powinny kłaść się cieniem na żółtych mazach impresjonistów. Płótno woła o barwy. Nie będąc wysłuchanym, morduje ciszę uśpionego miasta, wrzeszcząc pełną gamą kolorów. Wreszcie jest! Pierwszy dotyk pędzla, dziewiczy pierwszy raz naciągniętego do granic możliwości płótna. Pierwsza kropla czerwieni stykająca się z podłożem zamienia się w brunatny odcień zniszczonej czasem cegły. I tak po kolei: kamień za kamieniem, bruk, parkan, zieleń zgniła, a pomiędzy ślady życia - jakaś postać skulona przypadkowo zaistniała w kadrze obrazu. I dalej: drzemiące kamienice z zaryglowanymi okiennicami, za którymi ludzie żyją codziennymi sprawami, bogactwem, biedą, niespełnionymi marzeniami, i wieże kościelne górujące nad całym tym organizmem, który płytko oddycha, będąc jeszcze we śnie o piątej rano.

Barbara czuje drżenie porannego „fin de siècle" raciborskiego świtu, gdzie jeszcze słońca nie widać, ale płótno już sercem czuje, że jest, że wyłania się przyczajone za horyzontem. Dziewczyna ma wewnętrzny przymus, by złapać pędzlem, zamknąć w ciężkich ramach pejzażu wszystko to, czym obdarzyła krajobraz natura.

Baśka znowu uciekła! - Słyszy w głowie wołanie matki. Już wie, że ono ją dogoni, ale nie jeszcze. Jeszcze trochę. Jeszcze czas uśpiony, jeszcze ludzie mają senne marzenia. Tylko ona dospać nie może; gna ją po mieście i za miasto, ze sztalugą prowizorycznie skleconą z trzech cienkich desek, z paletą i farbami, których zawsze jej brakuje.

W tym czasie, gdy Baśka chłonie rześki poranek, korpulentna Matylda wbiega po drewnianych schodach. Ich skrzypienie wrzyna się w uszy, rani je i profanuje swoim nieumyślnym odgłosem. Stęchlizna upływającego czasu i pleśni po raz kolejny maltretuje wrażliwe nozdrza. Nagle otwierają się na oścież drzwi, pralnia odbija biel nielicznych prześcieradeł, które wprawione w ruch powietrzem, zaczynają lekko falować. Z impetem zamyka się otwarte dotąd okno.

- Złodziejka! - Matylda mruczy pod nosem rozeźlona. Zbiega po schodach. Zostawia za sobą podwórko, kamienicę, ulice i biegnie zdyszana za miasto. Chwila jeszcze, zanim dopadnie Barbarę i

da upust swojej złości.

- Baśka, do domu!- Dziewczyna słyszy za sobą. Już nie w głowie, nie we wspomnieniach, ale fizycznie, tuż za swoim uchem.

- Daj spokój, Matyldo, muszę to dokończyć.

- Jutro dokończysz, domalujesz resztę. Pan Antoni wyjeżdża wieczorem do Krakowa, całe dwa dni go nie będzie. Chodź już!- Ręka służącej chwyta ramię Baśki, ciągnie na siłę, jakby chciała z niej wydrzeć wszystkie dziewczęce marzenia.

- Nie mogę!- Basia jest zła, wyszarpuje się z uścisku. - Nic nie rozumiesz! Nikt z was nie rozumie! Jutro nie będzie już tego samego poranka! Nawet miasto, chociaż to samo, ale jednak inne. Muszę dokończyć ten obraz teraz!

Stara Matylda daje za wygraną, poprawia biały fartuch, wpatruje się w magię rodzącego się na płótnie życia.

- Podoba się Matyldzie? - pyta dziewczyna.

Na twarzy służącej pojawia się grymas.

- Nie rozumiem się na tym. Mnie się zdaje to wszystko nieostrym i … nieprawdziwym wcale. Jedno widać, a inne panienka malujesz. Chociażby kościół… gdzie tu wieża? Nie taki ja Racibórz codziennie widzę. - Kobieta wykonuje machnięcie ręką na znak, że nie ma o czym mówić.

- Jutro Matylda na strych przyjdzie, namaluję Matyldę.

- Mnie? A po co? Starość i brzydotę malować - to grzech jest.

- Na płótnie to ja tę brzydotę piękną pokażę – Basia mówi z przejęciem. Widząc jednak kwaśny grymas twarzy rozmówczyni, szorstkim głosem dodaje: - Może Matylda wracać do domu. Ja jeszcze pójdę żebraków malować.

- Bój się Boga, panienko! Już i tak w całym Raciborzu gadają, że panna straciłaś rozum. Już chyba miejsca takiego w całym mieście nie ma, gdzie panienki by nie było. I już to odstręcza wszystkich kawalerów to panny zachowanie.

Barbara wie, że służąca ma rację. Gospody odarte z człowieczeństwa, kamienice ziejące szarością pospólstwa, bruk kamienny wypasiony dorożkami i powozami, zapach chleba unoszący się na rynku pomiędzy gołębiami i twarze raciborzan sunące w pochodzie dziesiątek spraw i sprawunków; to wszystko pcha się na płótno bez pytania, bez próśb jakichkolwiek. Baśka wie, czuje, że każdą rzecz, którą napotyka, każde oczy, usta, każdą suknię bogatą i biedną, kupiecką i żebraczą musi jak najszybciej zmienić w obraz. Dopóki pędzel nie utrwali tego, wyobraźnia jej nie spocznie, dłoń nie położy się spać spokojnie, lecz drżeć będzie w niespełnionym pragnieniu.

- Niechże tylko pamięta panienka, że dziś na obiad przyjeżdża pan Polko. Wcześniej jakoś ogarnąć się trzeba, z farb się umyć, uczesać się – nakazuje służąca, przyglądając się włosom Basi, w których plątaninie promienie słońca rozpalają pomarańczowe płomienie.

Dziewczyna odwraca wzrok od płótna, spogląda na Matyldę z lekką dezaprobatą.

- A co mnie jakiś pan Polko obchodzi! To ojciec robi z nim interesy, nie ja przecież.

Matylda wraca do domu. Matka Basi niezadowolona, gdy słyszy, że córka skoro świt znowu na malowanie wyszła. Załamuje ręce, włosy z głowy rwie na samą myśl o niedoszłej malarce. Ale zostawia to, bo czas ją goni. Uroczysty obiad wydawany na cześć gościa rozpala jej wyobraźnię. Już widzi Barbarę w ślubnej sukni, jak w powozie mknie ku lepszemu życiu. To jednak na razie pozostaje tajemnicą dla córki, choć sam konkurent pannę już widział i takiego sobie na ożenek narobił apetytu, że gotów w ciemno brać dziewczynę za żonę, zupełnie, jakby rzecz jakąś brał w posiadanie.

Barbara obietnicę powrotu do domu spełnia z pilnością. Wraca w południe objuczona płótnami pełnymi niedomówień, barw rozbrykanych, niespokojnych, upojonych wolnością, którą daje nieskrępowana dłoń młodzieńczej fantazji i odwagi. Odkłada sztalugi na strychu, który jest jej osobliwym atelier. Raz jeszcze obejmuje wzrokiem zrośnięte soczystą zielenią drzewa w parku, zamek kołyszący się na czerwonym podłożu i browarników wychodzących na złudny odpoczynek. Patrzy na twarze raciborzanek zastygłe na płótnach: z nostalgicznym spojrzeniem, jedne z lekko otwartymi ustami, inne z ustami zaciśniętymi mocno, jakby bały się, że wysypią się z nich słowa niepotrzebne, karygodne, wściekłe, buntownicze. Obsypuje spojrzeniem ich sylwetki drobne, chude, olbrzymie, ale wszystkie dumne i wyniosłe, siedzące na krużgankach próżności, ale z nogami splecionymi pobożnie.

- Barbaro, suknię zmień! - Baśka słyszy wołanie matki. - Do ładu się doprowadź!

Dziewczyna niedbale odgarnia plątaninę włosów, zmienia suknię na koronkowe płatki róż, zakłada halkę, pod szyją się zapina ale…zupełnie zapomina o gorsecie. Schodzi do salonu, który wabi jej zmysł węchu świeżą pieczenią dziczyzny przeplataną z wonią sorbetu i czegoś jeszcze, czego nie potrafi odgadnąć wcale. Ojciec podaje jej ramię, zaprasza do stołu, przedstawia gościa, którego Baśka dopiero teraz dostrzega schowanego za fortepianem. Zerka na niego kątem oka, próbując zachować w pamięci jego wypielęgnowaną bródkę. Francuskie perfumy zbliżają się do niej, oplatają wielkim światem, chłoną jej gładką skórę.

- Dzień dziś piękny nadzwyczaj – odzywa się ojciec Basi. Widać, że jest trochę zdenerwowany, i nawet usilne zabiegi o ukrycie tego stanu nie przynoszą efektu. Głos drży mu tak samo jak ręce.

- Nie piękniejszy niż córka pana – komplementuje Polko, wpatrując się w twarz dziewczyny. Ojciec teraz dopiero dostrzega, jak śliczną ma córkę, jak jej kształty mogą działać na mężczyznę i jak może się w jej urodzie zauroczyć.

- Proszę, zapraszam do stołu!- Matka rozpościera szeroko ramiona, jakby tym gestem miała obcemu oddać wszystko, co tylko jest w jej posiadaniu; nawet więcej niż ma sama.

Obiad najwyraźniej smakuje gościowi, bo delektując się nim, co chwilę chwali kuchnię gospodyni.

Służba, będąc na każde skinienie państwa, dwoi się i troi, by zadowolić jego wysublimowane podniebienie.

- Jak pan znajdujesz nasze miasto? - grzecznościowo pyta ojciec Baśki.

- Zachwycające, panie Antoni! Miałem sposobność, by podziwiać zamek, zajrzałem też do kościoła Maryi Panny. Spacerkiem obszedłem rynek, gdzieniegdzie zahaczając o urokliwe uliczki, a ulicą Długą jestem zauroczony; tym zwłaszcza, jak ona życiem tętni. Wszystko to piękne w Raciborzu znajduję. Nie pierwszy raz zresztą tu jestem, choć zawsze zdawało mi się, że ostatni. Szukam miejsca na intratny interes. Jakieś miejsce dobre na fabrykę może… Widzę, że kolej tutaj to potęga i w świat można stąd ruszać. Ogólnie zauważam, że wszystko tutaj rozwija się prężnie. Miał mój ojciec rację, że tyle lat życia oddał temu miejscu. A ja mam pomysłów kilka, lecz na razie… nie będziemy przecież dam nudzić śmiertelnie.

- To się rozumie. - Antoni jest pod wrażeniem gościa, który ledwo trzydzieści lat przekroczywszy, powiększył majątek ojca, mając w sobie kupiecką żyłkę. W rękach jego i jego rodziny znajdowały się nie tylko fabryki cygar i czekolady, ale także olejarnie i gorzelnie. W ostatnim czasie ojciec jego uruchomił nawet cukrownię, robiąc na niej wyśmienity interes. Z ogromną chęcią widziałby Antoni tego młodego człowieka jako swego zięcia, dziwiąc się trochę, że spośród wielu bogatych panien upatrzył sobie właśnie krnąbrną i nie najbogatszą Baśkę. To zainteresowanie jego córką dodaje mu rangi, schlebia próżności, ale także zastanawia. Polko mógłby mieć niejedną kupiecką pannę opływającą w bogactwa, a jednak zwrócił uwagę na Barbarę.

- Obiad wyborny, szanowna pani - słyszy matka Baśki z ust pana Polko.

- Panie Waldemarze, pan łaskaw jesteś tak miłe rzeczy prawić, że tu pana chyba na dłużej zatrzymamy.

- A i owszem, już się sam zatrzymałem - w Cafe Residenze. Miałem sposobność być tam jakiś czas temu i przyznam, że styl wiedeński bardzo mnie urzekł. Ma w sobie niebywałą atmosferę końca wieku, a i sami bywalcy stanowią jakiś oryginalny element tego miejsca. Nie wiedziałem, że w Raciborzu tylu macie literatów, muzyków i… malarzy. A kobiety piękne, wyzwolone… A pani? - Spogląda na twarz Basi. - Panna milcząca taka…

Dziewczyna głośno przełyka ślinę zaskoczona pytaniem. Nie wie jeszcze, że ojciec z matką już umyślili jej plan zamążpójścia. Waldemara traktuje jak interesanta, choć nie powie, bo serce szybciej jej bije przy obcym, na twarzy się rumieni, jąkać się zaczyna, ręce jej drżą, gdy sztućce chwyta.

- Bo ja…- bąka zbita z tropu - malować wolę niż rozmawiać.

Matka pąsowieje. Ojciec robi się purpurowy, aż tchu mu braknie, kołnierz poluźnia nieco.

Oboje jedno mają w myśli: by córka andronów nie naplotła. Żaden to mężczyzna nie ożeni się z kobietą, która nad dzieci i męża przedkłada własne fanaberie.

Waldemar uśmiecha się lekko. Wzrok kieruje na falujące piersi dziewczyny. Widać, że i ona nie potrafi ukryć drżenia. Jej palce nagle, jakby niechcący muśnięte jego dłonią, uciekają przed dotykiem.

-A co pani maluje, jeśli spytać mogę?

- Hm...Piękne kobiety pokracznie siedzące na raciborskim rynku. Albo…- Baśka milknie, czując na sobie przeszywający wzrok matki i ojca.

- A to ciekawe… - Młody mężczyzna z zastanowieniem gładzi bródkę.

- Bo ja, proszę pana, nie maluję tego, co widzę.

Stwierdzenie młodej kobiety powoduje nagłe zachłyśnięcie się ojca popijającego w tym czasie wiśniowy kompot.

- A co w takim razie pani maluje, jeśli nie to, co widzi? - pyta Waldemar ożywiony, gdy po kilku kasłaniach Antoniego, w salonie zapada śmiertelna cisza.

Piersi Barbary falują szybko jak wzburzona fala.

„Gdyby ten Polko - myśli sobie – stary był i brzydki, rozmowa jego wcale by mnie tak z równowagi nie wytrąciła. Ale twarz ma przystojną i w oczach coś … takiego… I wciąż tak się wpatruje we mnie, jakby chciał mnie na deser zjeść przy wszystkich, nie bacząc na okoliczności."

-To maluję, jak widzę, a nie, co widzę naprawdę – odpowiada, wiedząc, że z każdym nowym słowem naraża się na krytykę ojca.

Matka Basi co raz do niej oczami mruga, znaki jakieś daje, coś przekazać jej chce, czego córka nie rozumie wcale. Kiedy Matylda sorbet nakłada, matka z jej ręki zabiera talerzyk i sama pod nos córce podstawia.

- Gorsetu nie nałożyłaś. - Dziewczyna słyszy prawie niemy szept. Sztywnieje nagle porażona słowami matki.

- Rad byłbym zobaczyć pani atelier - proponuje nagle Waldemar.

Baśka patrzy przerażona, matka i ojciec nie mniej niż ona sama. Po chwili Antoni potakuje głową. Jego zgoda jest święta.

Krągłe biodra dziewczyny zakończone talią osy suną po drewnianych schodach. Smoczy ogon sukni broni dostępu do powabnego ciała. Stukają lakierowane trzewiki spięte fikuśną klamrą wyłaniającą się spod sterty falbaniastych halek. Niedbałe sploty włosów upięte w luźny kok rozpuszczają się samoistnie, tworząc długi welon płomiennymi nitkami muskający twarz gościa.

- Niechże Barbara sama pana oprowadzi! Dla nas to już za wysoko – mówi ojciec i zatrzymuje wzrokiem sunącą za nimi matkę. Ta zamiera niczym posąg i nierada zawraca do męża.

Wzrok Polko obejmuje królestwo Baśki, na które składa się artystyczny rozgardiasz upchanych wszędzie gotowych już płócien, ale także tych ledwo co zaczętych lub z utęsknieniem czekających na pierwsze muśnięcie pędzla.

- Mógłbym pani prawdziwe stworzyć atelier - odzywa się, dotykając jednego z obrazów.

- Prawdziwe? - pyta ona. - Przecież prawdziwa pracownia tam jest, gdzie dusza artysty, gdzie farby i płótna. Zresztą… I tak niedługo stąd wyjadę. Będę studiować malarstwo!

- Pani? Kobieta?- Dziwi się trochę rozbawiony. - A gdzie niby?

- Dlaczego pana to dziwi? Zobaczy pan, że jeszcze trochę i świat inaczej będzie wyglądał.

- Czy tak, jak na pani obrazach? - Spogląda na dzieło upstrzone nieodgadniętymi plamami. -Bo widzi pani, ja wcale nie znam się na sztuce. Pani obrazy na ten przykład… cóż znaczą? Twarze takie… miejsca udziwnione.

Baśka słucha tego niczym skazaniec. W myśli zdumiewa się, że on taki światowy, a nie potrafi dostrzec duszy w sztuce. Wyjmuje dla niego jeden obraz, rękami przytrzymuje.

- Proszę zobaczyć. Tu zamkowy browar, a tu…- Na te słowa odkłada płótno, by chwycić inne.- Piekarze przy codziennej robocie.

-A to? - Mężczyzna zauważa dzikie spojrzenie przyglądającej się z płótna kobiety.- Autoportret?

Basia nie odpowiada. Przekonana jest, że nic się gościowi nie spodoba. Chowa po kątach wyjęte przed chwilą obrazy, na siłę upycha, gdy się buntują przed ciemnością. Nie słucha ich błagania, że chciałyby zaistnieć, błyszczeć, żyć światłem dziennym, oddychać wolnością. To jednak jest ich nieszczęściem, że wyszły spod ręki kobiety.

- Mógłbym pani Paryż pokazać… - Oczy Polko zaczynają świecić z coraz to większą ekscytacją.- Wziąć w podróż po całej Europie! Mogłaby panna rzymskie Koloseum malować albo wiedeńskie pałace, paryskie łuki triumfalne… przesycone bogactwem kurtyzany w największych kapeluszach świata, zamiast tych tutaj dziadów mieszczańskich albo dziatwy w zgrzebnych koszulach.

Dziewczyna nie wierzy własnym uszom. Wie, że tymi słowami Waldemar jej nie kupi.

- Naprawdę w tych ludziach tutaj niczego dobrego pan nie widzi? W matce, która w chuście dziecko kołysze, a jednocześnie ciężkie cegły zbiera? Czy coś jest nad to piękniejszego? Proponuje mi pan podróż po Europie. Mnie? Obcej? - Dziwi się. - Dlaczego mnie, proszę pana? Kim ja dla pana jestem?

Waldemar nie spodziewa się takiego odzewu. Przez chwilę milczy, dopiero później nachyla się do jej ucha i szeptem wyrzuca z siebie lawinę słów:

- Jesteś... Kiedym cię w restauracji zobaczył, nie mogę przestać myśleć o pannie.

-Mnie? Kiedy? Nie rozumiem…- Dziewczyna patrzy na niego błędnymi oczami. Serce tłucze się jak oszalałe na wspomnienie jej pobytu w Grand Cafe Residenze. Choć z matką i ojcem nieraz delektowali się tam wiedeńskim tortem, to jej samej nie wypadało tam chodzić. Coś ją jednak tam gnało, coś goniło, coś kazało ze sztalugami rozkładać się w odległym rogu i chłonąć koniec stulecia w oparach cygar wielkich panów. Ogromne kapelusze kobiet - zamienione w rajskie ogrody -

przyciągały niepokorne farby, błagały pędzel o uwiecznienie. Ich wielkie ronda, ukrywające pod spodem twarze papierowo–białe, o ustach czerwonych i policzkach różowych, wołały o zamknięcie ich w ramach mieszczańskich obrazów. Jakże Barbara chłonęła tę Belle Epoque, jak jej nasyconymi farbami dodawała kolorytu! Nic wtedy nie istniało; nic i nikt nie mógł przeszkodzić zaszklonym oczom malarki, wyobraźni, która przetwarzała rzeczywistość w impresjonistyczną fantazję realnego raju.

- Czy nie wyrażam się jasno? - Mężczyzna wpatruje się w twarz dziewczyny. - Panno Barbaro, zostaw panna to miasto, tych ludzi, te płótna mieszczańskie! Zamień to wszystko na Paryż! Balet, operetki, bale… cała Europa czeka na pannę... Dam jej czasu więcej, jeśli jest potrzeba. Nie będę do niczego przymuszać, ale wiedz, że... rzadkością jest miłość pomiędzy majątkami.

Polko w myślach przygarnia do siebie jej giętką talię, jej piersi miękko układające się na jego ramieniu; ustami łaknie jej oddechu, oczami całe jej ciało kradnie.

Dziewczyna patrzy zaskoczona. Przez chwilę milczy, zbierając myśli.

- Tu jest mój Paryż! Znam tu każdy kamień, znam uliczki, ludzi. Wiem, które drzewo, gdzie rośnie… Nawet, jak stąd wyjadę, zawsze wracać tu będę! I chce pan, żebym miłość do tego wszystkiego zamieniła na pana pożądanie?

Twarz mężczyzny kamienieje. Nerwowo przeczesuje swoje włosy dłonią, marynarkę gładzi drżącą ręką. Nie takiego spodziewał się tu traktowania. Po chwili na baczność staje, głową tylko skinąwszy, wychodzi z tego osobliwego atelier bez żadnego słowa pożegnania. Słychać ciężkie kroki, jakiś gwar rozmowy, okruchy dźwięków ginące w przestrzeni. I cisza - złowroga, niespokojna, oczekująca na największą karę. Krew. Jej czerwień łączy się z czerwienią farby wylanej na podłogę. Sączy się z uderzonego przed chwilą nosa. Ojciec nie żałuje razów córce, miotając płótnami w dzikiej wściekłości.

- Niechże się tatuś zatrzyma!- woła Baśka, chcąc odebrać mu swoje prace. Z przerażeniem patrzy, jak rozsypuje się brukowa ulica, jak kamienie spadają z obronnych murów, jak raciborzanki tracą w tym szale serca, a ich usta nieme wołają o ratunek. Bryzgają farby na ściany, wylewają swą gorycz na drewniane deski podłogi, na okno zamglone i na pajęczynę długich włosów Barbary.

- Antoni!- Matka próbuje go zawrócić z drogi szaleństwa.

- Zejdź mi z oczu! - krzyczy do małżonki.- Coś ty, Barbaro, panu Polko powiedziała, że on taki niekontent wyszedł od nas z domu? - Ojciec na chwilę zatrzymuje się w furii. - Myślałem, że dobrze za mąż wyjdziesz. Młody mężczyzna, bogaty, o miłej aparycji… kontaktów mający setki… Nie tylko cały Racibórz rzuciłby ci pod nogi, ale świat cały! Kogo ty chcesz, Basiu?! Czy starca wolisz szkaradnego, byś mu opiekunką była? W latach się posuwasz, uroda twoja z każdym dniem mija… Za to masz te swoje nędzne farby, te sztalugi pokracznie złożone! Czym one cię nakarmią, gdy mnie z matką już nie stanie?! - Antoni wybucha szlochem, a po krótkiej chwili stara się stłumić

go w sobie. - Dziecko, ty myślisz, że nie żywię do ciebie ojcowskiej miłości? Ale wiedz, że jest właśnie inaczej!

- Tatusiu, kiedy ja … właśnie miłość już znalazłam. Kocham to miasto! Potrafię odgłos dzwonu namalować i słowa poetów, szept ludzi i śpiew w kościołach. Ja temu wszystkiemu oddałam serce!- tłumaczy dziewczyna, wycierając rękawem zakrwawiony nos.

Widać, że ojcu z bezsilności opadają ręce.

- Basieńko, już mnie o ciebie wypytuje piekarz Betke. Owdowiał pół roku temu, ale widać, że za żoną się rozgląda. Już ci on z głowy wybije to twoje malowanie!

- Co?! - dziewczyna drżącymi ustami daje upust swojemu wzburzeniu. - Najpierw chciał mnie ojciec za czekoladę i cygara sprzedać, a teraz już tylko za chleb! A ja za nikogo za mąż nie wyjdę! - Baśka wybiega ze strychu. W przejściu stoi matka - pełna przerażenia, oniemiała, ze splecionymi dłońmi, z oczami dzikimi, jakby czuła, że wszystko, co się tu dzieje, prowadzi do fatalnego w skutkach końca. Chociaż jej usta milczą, oczy wołają o opamiętanie. Zamyka córce drogę ucieczki. Ta nie traci przytomności umysłu, wbiega po schodach na ostatnie piętro kamienicy. Ojciec zostawia za sobą ramy zniszczonego zamku, bruk kamienny wąskich uliczek i bolesne twarze połamanych jego furią raciborzanek. Jak młodzieniec pędzi za córką w jakimś niewypowiedzianym wariactwie. Już prawie ma ją, już prawie za rękaw chwyta. Otwierają się stare okiennice, zsuwa się trzewik z nogi. Lot wolnego ptaka kończy się śmiertelnym upadkiem. Krzyk zastygły na ustach Baśki wyraża jej przerażenie. Jest wolnym ptakiem; jednak zapomina, że przecież nie posiada skrzydeł.

Przed kamienicą zbierają się ludzie, wpatrują się w czerwoną plamę, w powyginane życie nienaturalnie złożone na śmiertelnym firmamencie. Słychać szept, szloch, płacz i słowa przerażenia.

Nikt z postronnych nie zna przyczyny, dla której Barbara rzuciła się z okna. Wszyscy jednak wiedzą doskonale, że w locie zginął ptak piękny, który dla miłości swojej poświęcił własne życie.

KONIEC

Uzasadnienie jury

Drugie miejsce: godło „malva100”
Belle epoque Ratibor
Dramatyczna opowieść o młodej malarce, dla której Racibórz jest całym światem. Utwór, cechujący się eleganckim stylem, nawiązującym do epoki modernizmu, spełnia rygorystyczne wymogi gatunkowe noweli. Wiernie zostały oddane realia Raciborza przełomu wieków XIX i XX.

-